# Diablo

# Brzemię mroku i światłości

## Krótkie opowiadanie

Tekst
JONATHAN MABERRY

Redakcja
ERIC GERON

Konsultacja fabularna
IAN LANDA-BEAVERS

Konsultacja artystyczna
LEWIS HARRIS, VIVIANE KOSTY, JOE SHELY, DANIEL TANGUAY

Produkcja
BRIANNE MESSINA

Projekt
COREY PETERSCHMIDT

Ilustracje
YEUNJAE JANG

Tłumaczenie
ADRIAN WAJER

Redakcja przekładu
MAŁGORZATA KOCZAŃSKA

Redakcja merytoryczna przekładu
OLGA KUBIS

© 2023 Blizzard Entertainment, Inc. Blizzard oraz logo Blizzard Entertainment są znakami towarowymi lub zastrzeżonymi znakami towarowymi spółki Blizzard Entertainment, Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach.

# BRZĘMIĘ MROKU I ŚWIATŁOŚCI

*Krążą o nim opowieści. O Klath-Ulnie, zwanym Złotym, choć w każdej opowieści jest skąpany w szkarłacie – we krwi każdego, kto wystąpi przeciwko niemu.*

*Ja, Tejal, widziałam go w snach. Przybył na Pustkowia Sharval, do małego miasteczka zwanego Świętym Wezwaniem.*

*Jeśli nie znacie tego miejsca, to posłuchajcie, bo zdradzę wam dlaczego. Rozpalcie jasny ogień, zamknijcie drzwi, pochylcie się i wytężcie słuch, bo nawet gdy przypominam sobie tę historię, słyszę dźwięk świętego dzwonu zawieszonego w wieży, wznoszącej się nad dachami domów. Ten dzwon przywieziono z Kurast, a mieszkańcy radowali się, ponieważ był on pobłogosławiony przez Światłość.*

*Tak o nim mówili. Ale mądrzy wiedzą, że talizmany rzadko zapewniają ochronę. Stanowią raczej symbole nadziei. Nasza opowieść zaś rozciąga się nad przepaścią między faktami a wiarą. Powiem wam prawdę – mroczną prawdę o tym, co się stało, gdy Klath-Ulna przybył na wezwanie dzwonu...*

– To wszystko na co cię stać?

Młody człowiek stał w rozkroku, ciężar ciała przeniósł na śródstopia, ugiął kolana i napiął mięśnie. W jednej ręce trzymał krótki miecz o szerokim ostrzu, a do nadgarstka i przedramienia drugiej miał przywiązany mały puklerz. Pot lśnił na nagiej klatce piersiowej i ramionach młodzieńca, spływał mu strużkami po twarzy.

– Myślałem, że wieprze wojny są zaciekłe – zadrwił. – No chodź po mnie, jeśli możesz, a ja wyślę cię do piekła...

– Czyżby? – odparł staruszek, który oparł się na rączce koła treningowego. – Za każdym razem, Jenks? Tym razem „wieprze wojny"? Czym, w imię wszystkiego, co święte, są „wieprze wojny"? Czy miałeś na myśli dziki? Bo w tutejszych kniejach ich nie uraczysz.

– Nie bądź taki, Bikleman. Wczuj się w opowieść. – Jenks się wyprostował. – *Wieprze wojny*! Nie słuchałeś nigdy żadnej ze starych pieśni?

– Więc czym jest wieprz wojny? Knurem uzbrojonym w miecz? Maciorą z berdyszem?

– To demon z...

– O nie – przerwał ostro Bikleman. – Nic z tego. Jesteś już zbyt duży, żeby zmyślać. Poza tym na świecie i bez demonów mamy wystarczająco dużo *prawdziwych* potworów, o które trzeba się martwić.

– Ale...

– Żadnego „ale" – warknął Bikleman. – Demony od dawna nie kroczą po ziemi. Tym całym gadaniem jeszcze wywołasz wilka z lasu! Powinieneś skupić się na tym, z kim naprawdę będziesz musiał kiedyś walczyć.

– Z kim? Z *ludźmi?* To takie nudne.

– Nudne? Więc się *nudzisz*, tak?! – Starzec przewrócił oczami i pokręcił głową.

– Mówisz wszystkim, że chcesz być paladynem, żołnierzem Światłości, obrońcą wiary Zakarum. Jako dziecko byłeś zbyt chorowity, by przystąpić do szkolenia, a teraz, gdy stałeś się starszy i sprawny, myślałby kto, że przynajmniej *spróbujesz* zachowywać się jak należy. To ważne szkolenie, Jenks. Trenujesz do walki z żołnierzami i bandytami, złodziejami i rozbójnikami. To są prawdziwe zagrożenia. I jeśli przyjdą do miasta, musisz być gotowy. A może za wiele od ciebie wymagam?

Jenks, który miał siedemnaście lat i nigdy nie wyjechał dalej od miasta niż do Strumienia Przewoźnika, poczuł, jak czerwienieją mu policzki.

– J*estem* poważny.

– Więc tak się zachowuj. Demony, które zmyślasz, lub te, które zapożyczasz z bajek na dobranoc, tylko rozpraszają twoją uwagę. Gdybyś poświęcił czas i zajrzał choć do kilku zwojów historycznych, wtedy byś zrozumiał. Paladyn musi być pragmatykiem. Realistą. To, czym powinieneś się interesować, znajduje się w świętych księgach, ale pewnie ich nawet nie *przeczytałeś.*

– Przeczytałem... – zaoponował Jenks. Potem wymamrotał: – W większości.

– Aha. – Starzec nagle pchnął koło treningowe, a liczne drewniane ramiona zakołysały się z zaskakującą szybkością.

Nieprzygotowany Jenks musiał kucnąć, aby uchylić się przed wielkim górnym ramieniem maszyny, a następnie podskoczyć jak żaba, aby uniknąć podcięcia dolną belką. Uderzył o ziemię i przetoczył się trochę niezdarnie. Gdy podniósł się, w jego brzuch wymierzony został kolejny cios. Ale Jenks wykręcił się i wygiął do tyłu jak tancerz. Mniejsze ramię urządzenia zaatakowało szybciej niż poprzednie. Jenks skontrował atak swoją tarczą i dźgnął w cel w kształcie serca – płócienną poduszkę wypchaną słomą. Tępy drewniany miecz uderzył solidnie, a Jenks rozpromienił się w zawadiackim uśmiechu, nie kryjąc satysfakcji z triumfu.

– Ha! – wykrzyknął – Wieprz wojny został ubity.

Bikleman kopnął jeden z prostych prętów mocujących koło, a wyściełany koniec trafił Jenksa prosto w krocze. Chłopak wydał wysoki, świszczący krzyk i upadł na kolana, a jego miecz potoczył się na ziemię. Młodzieniec złapał się za bolące miejsce, spurpurowiał i przewrócił się jak ścięte drzewo.

Starzec przykuśtykał, stanął nad Jenksem i spojrzał na niego z uśmiechem.

– Szczwane bestie te wieprze wojny, nieprawdaż, chłopcze?

Jenks próbował na niego krzyknąć. Próbował przekląć go na najgłębsze czeluście

Piekieł. Próbował powiedzieć, że to wcale nie bolało. Próbował podnieść się, by udowodnić, że nie jest ranny.

Niestety nie zdołał.

Bikleman obrócił się i splunął pod wiatr z wielką dokładnością i prędkością, trafiając prosto w cel w kształcie serca.

– Dobry trening, Jenks – oznajmił oschle. – Może jutro pokażesz mi, jak walczyć z nieumarłym jeżem czy innym paskudztwem.

Jenks przewrócił się na bok i zwymiotował.

Starzec patrzył na niego jeszcze przez chwilę.

– Jesteś dobrym chłopakiem, Jenks. Ale musisz być lepszym *mężczyzną*. Patrzysz na mnie i widzisz starego pryka, a przecież dobrze wiesz, że byłem kiedyś paladynem. Na długo przed twoimi narodzinami, ale nie tak dawno, żebym nie pamiętał, jakie to uczucie – w mięśniach i kościach, w sercu i umyśle – skrzyżować ostrza z wrogim żołnierzem. Nie z potworem, ale z wojownikiem wyszkolonym we wszystkich sztukach zabijania. Zapewniam cię, że nikt nie jest tak groźny jak bojownik, który ma umiejętności i zbroję, broń i serce, i chce zobaczyć twoją krew na swoim ostrzu. *Ja* znam to uczucie z krucjat Rakkisa. Nie ma nocy, żebym nie śnił o zgrzycie stali i krzykach umierających. O tym, jak stoję po kostki we krwi moich sióstr i braci. Moich przyjaciół. – Pokręcił głową. – Ludzie są wystarczającymi potworami, gdy ogarnie ich żądza walki. Nie musimy wymyślać innych.

Pomimo surowych słów, jego uśmiech pozostał uprzejmy.

– Widzimy się na kolacji.

Starzec odwrócił się i kuśtykając, wrócił do miasta, gwiżdżąc hymn bojowy, który on i jego zaginieni w boju towarzysze śpiewali kiedyś, gdy maszerowali na wojnę.

Jenks wreszcie wstał, ale szybko usiadł z powrotem i oparł się plecami o centralny filar koła treningowego. Gdy ogrom bólu zaczął ustępować, skupił myśli na nim, pozwalając po prostu istnieć temu, co odczuwał. Bólowi. Cierpieniu. Zmusił się do zaakceptowania ich jako ceny, którą trzeba zapłacić, by stać się wojownikiem.

Bikleman utykał, bo dawno temu dostał włócznią w biodro. Stary Redharn,

BYŁ SZYBKI I ZWINNY, WŁADAŁ MIECZEM, LANCĄ I ŁUKIEM. TYLE ŻE NIE BYŁO JUŻ NIKOGO, Z KIM MÓGŁBY WALCZYĆ.

kowal, miał pół tuzina blizn od mieczy i strzał. Takich jak oni było wielu. Połowa starszych mężczyzn i kobiet kiedyś wyruszyła na wojnę w świętym celu i została żołnierzami. Podobnie jak Redharn, nosili blizny, które zyskali w tej czy innej bitwie, a w zimowe wieczory opowiadali przyjaciołom historie o odwadze w boju.

A co do młodszych wojowników z miasta...

Cóż, całe pokolenie nigdy nie wróciło z krucjat. Jenks snuł w wyobraźni opowieści o tym, jak dzielnie ginęli, walcząc bez ustanku pomimo bólu, nawet gdy życie uciekało z nich wraz z krwią. To bohaterowie, myślał z przekonaniem.

Stanowiło to jednak zaledwie połowę prawdy. W mieście zauważalna była ogromna luka pokoleniowa – cała generacja dołączyła do krucjat. Od tych, którzy byli tylko kilka lat młodsi od Biklemana, po tych ledwie o rok starszych od Jenksa. Wszyscy odeszli. Nikt nie wrócił. Nawet bardzo młodzi – chłopcy i dziewczęta, którzy opuścili szkołę i miasto, aby zostać giermkami, młodszymi pikinierami lub pomocnikami łuczników.

Wszyscy odeszli.

Wszyscy zginęli.

Niestety ich historie pozostały nieznane i nieopowiedziane. Istniały o nich pieśni, niektóre nawet śpiewane w kościele, ale Jenks wiedział, że je zmyślono. Tak samo jak jego wyimaginowane wieprze wojny i gobliny. Wspólnota śpiewała ballady napisane przez rodzinę lub przyjaciół zaginionych. Pieśni o odwadze i honorze, by pokrzepić serca i ukoić poczucie straty.

Jenks wiedział, że byłby jednym z tej straconej kompanii, gdyby jako chłopiec nie okazał się chorowity. Zanim wygrał walkę z własną wątłością, prawdziwe bitwy już się skończyły.

Teraz, w wieku siedemnastu lat, Jenks tęsknił do wojaczki. Nie chorował już, a niekończące się godziny treningu, tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu, uczyniły go silnym. Był szybki i zwinny, władał mieczem, lancą i łukiem.

Tyle że nie było już nikogo, z kim mógłby walczyć.

Siedząc tam, opłakiwał utratę swej szansy na to, by zostać prawdziwym wojownikiem, by stanąć pomiędzy jakąś brutalną krzywdą a tymi, których kochał. Było to jego największe marzenie, ale choć trenował noc i dzień, wiedział, że marzy na próżno.

– Wojna się skończyła – powiedział do siebie. – Może będzie kolejna...

Wtedy rozległy się krzyki.

Stał na skraju miasta. Jenks przykucnął za rogiem stodoły i wpatrywał się w przybysza.

Obcego.

Był to człowiek, choć niepodobny do żadnego, którego Jenks widział. Wyższy nawet od Wielkiego Gorfa i mocniej umięśniony niż kowal Redharn. Zupełnie jak postać z dawnych legend, która nagle ożyła. Nieznajomy miał masywne ramiona, wielkie dłonie, wysklepioną klatkę piersiową i ciemne oczy, które zdawały się emanować zimowym chłodem. Wyglądał jak posąg z muzeum śmierci. W pełni opancerzony w kombinację metali zarówno znanych, jak i obcych. Większość pancerza wyglądała na złoconą, choć na lśniącym metalu odcinały się matowe wgniecenia i zadrapania od tysiąca bitew. Płyty naramienne były szersze niż i tak potężne ramiona przybysza, a z każdej wyrastał las kolców. Znajdowały się również na łokciach, puklerzu i nogawicach, a nawet wyrastały z ciężkich butów. We wzór tej zbroi wplecione zostały symbole śmierci – czaszki i kości. I czyżby na piersi obcego widniał symbol Zakarum? Na skórze wojownika, w nielicznych, odsłoniętych miejscach, czyli na grubej szyi i łysej głowie, Jenks dostrzegł tatuaże – brzydkie i złowieszcze.

No i jego oręż.

Noże z prostymi rękojeściami – broń nie stworzona na pokaz. A przez jedno z silnych ramion przewieszony był buzdygan, który wyglądał na zbyt duży i zbyt ciężki, by ktokolwiek mógł nim władać w prawdziwej walce. Miał kształt kościelnego dzwonu, z tym, że w miejscu, gdzie znajdowały się usta instrumentu, widać było skupisko ostrych jak sztylety kolców, a dwa zakrzywione szpony

wysuwały się z korony. Na końcu żelaznego styliska kołysała się kula, serce dzwonu. Samo to, że człowiek ów nosił broń takich rozmiarów, budziło przerażenie. Stanowiło straszliwy zwiastun.

Nieznajomy – bez wątpienia wojownik – spojrzał na główną ulicę miasta. Jego wzrok przesunął się po twarzach ludzi ukrytych za wozami, rozchylonymi zasłonami czy na wpół otwartymi drzwiami. Niektórzy szeptali, że to barbarzyńca z pustkowi, inni upierali się, że druid przybyły, by praktykować jakąś czarną magię. W każdym razie ludzie czynili w powietrzu znaki ochronne i szemrali święte modlitwy.

Potem jego ponure spojrzenie powędrowało na wysoką dzwonnicę jedynego kościoła w Świętym Wezwaniu. Zakarumicki dzwon kościelny, starszy niż samo miasto, wykuty został i błogosławiony na wschodzie, skąd przywieziono go na zachód podczas krucjaty. Historia głosiła, że dzwony takie jak ten pozostawiano w wielu obozach w nadziei, że wokół nich powstaną miasta wiernych. Tak jak stało się to tutaj, w Świętym Wezwaniu. Dzwon na wieży był prastarym skarbem w tym ubogim mieście, ale jego obecność umacniała mieszkańców w wierze. Cień dzwonnicy, skąpanej w popołudniowym słońcu, kładł się środkiem wzdłuż ulicy, tak że sięgał tuż-tuż do pancernych butów nieznajomego.

Jenks zobaczył, jak obcy powoli opadł na kolana, przytknął palce do cienia i zamknął oczy. Następnie wziął głęboki wdech i wydech, nim z namysłem skinął głową. Dopiero wtedy wojownik wstał, wyprostował się i rozejrzał.

– Mieszkańcy Świętego Wezwania. – Jego głęboki głos zadudnił wśród domów jak grzmot. – Jestem

Klath-Ulna z Plemienia Niedźwiedzia, mój lud to Dzieci Bul-Kathosa, a ja nazywany jestem Złotym.

Jego słowa odbijały się echem od jednego budynku do drugiego, grzechocząc oknami i płosząc ptaki z drzew.

– Szukam rzeczy o wielkim znaczeniu. Żelaznego dzwonu z wieży. Przynieście mi go, a odejdę, i nikomu nie stanie się krzywda. Odmówcie lub stańcie na mojej drodze, a zniszczę wszystkich, którzy tu mieszkają. Każdego mężczyznę i kobietę, aż do ostatniego niemowlęcia. Przysięgam wam.

Rzekłszy to, chwycił rękojeść swojego bojowego buzdyganu i zamachnął się nim z taką siłą, że kolczasta głownia wgryzła się głęboko w cień wieży. Zdawało się, że uderzenie wstrząsnęło ziemią, tworząc drobne pęknięcia na twardym podłożu. Jenks słyszał westchnienia, a nawet zduszone krzyki w tłumie, który obserwował mężczyznę.

Odgłosy szybko zamarły. W ciszy nikt się nie poruszył. Ani jedna osoba nie zaproponowała barbarzyńcy, że przyniesie dzwon. Dodało to Jenksowi otuchy, bo pomyślał, że całe miasto może się zjednoczyć i obezwładnić obcego.

Cisza przeciągała się, gdy barbarzyńca patrzył w twarze kolejnych mieszkańców. Mruknął głośno, na równi z gniewem i obrzydzeniem.

– W takim razie sam go wezmę – zdecydował i zrobił jeden groźny krok w cień dzwonnicy. Rozejrzał się ponownie. – Czy nie ma tu mistrza, który stanąłby przeciwko mnie? Czy w tym mieście brak choć jednego wojownika, który przynajmniej udowodniłby, że istnieje tu honor?

Stał, trzymając niedbale buzdygan.

Odpowiedziała mu jedynie dzwoniąca w uszach cisza.

Jenks widział, jak usta mężczyzny najpierw krzywią się w grymasie rozczarowania, a potem unoszą się powoli w wyrazie mrocznej satysfakcji.

– Tak też myślałem. – Podniósł swój bitewny buzdygan. – Smuci mnie, że w tej krainie nie ma już honoru. Żadnych mistrzów. Co za szkoda. Jakie historie będziecie opowiadać, gdy odejdę? Jakie kłamstwa przywrócą wam dumę? Jakie bajki będziecie snuć wędrowcom?

Nikt nie wyszedł ze swojego domu ani sklepu. Nikt nie podjął wyzwania. Nikt też nie zaproponował, że przyniesie dzwon. Cisza się przeciągała.

Klath-Ulna splunął na ziemię.

# – CZY TO ŻAŁOSNE MIASTO MOŻE LICZYĆ NA TYLKO NA CIEBIE? – ZAPYTAŁ GROŹNIE KLATH-ULNA.

Jenks wydał okrzyk – ostry jak u spłoszonej wrony – zatoczył się, obrócił i odbiegł.

Klath-Ulna nie rozglądał się, choć czuł na sobie spojrzenia. Wyobrażał sobie, co o nim szepczą miejscowi – i przekleństwa, i modlitwy. Takie same tutaj jak i w innych miastach.

Ile ich odwiedził? Nie mógł sobie przypomnieć. Niektóre pozostały nietknięte, ale o wiele więcej legło w gruzach, z ziemią przesiąkniętą krwią i niepogrzebanymi ciałami pozostawionymi na pastwę padlinożerców. Nazwy tych miejsc dawno już zapomniał. Nigdy nie znał imion zmarłych. Byli dla niego niczym. Marnym puchem.

Nie inaczej będzie w tym mieście.

Kościół górował nad nim, a barbarzyńca *czuł*, że dzwon wzywa go do siebie. Pragnie, by mężczyzna go znalazł. Potrzebował tego.

I wtedy z gęstego cienia przy wielkich dębowych drzwiach wystąpiła postać, a błysk słonecznego światła odbił się w jasnej stali w silnej dłoni.

Klath-Ulna zatrzymał się u stóp schodów.

Spodziewał się, że opór stawią wszyscy albo nikt. Tak bywało. Miasto pozbawione wielkiego mistrza zbroiło się w zardzewiałe miecze, widły i kosy. Teraz jednak stało się inaczej. Na szczycie schodów czekał chłopak. Miał może szesnaście lub siedemnaście lat. Jeszcze nie mężczyzna. Chronił go wgnieciony zabytkowy hełm, koszula z zardzewiałej kolczugi, niedopasowane nagolenniki i bardzo mały puklerz.

Oraz miecz.

Klath-Ulna poczuł rozbawienie. Miecz wyglądał na niezły. Prawdziwy oręż bojowy. W przeciwieństwie do reszty ekwipunku, był wyraźnie zadbany, ostry i

naoliwiony, ale nie nosił śladów użytkowania – żadnych wgnieceń czy odprysków. A więc to nowa broń. Niesprawdzona i niezbrukana krwią. W rękach chłopca.

– Czy to żałosne miasto może liczyć na tylko na ciebie? – zapytał groźnie Klath-Ulna.

Gdy Jenks pośpiesznie zakładał zbroję, przećwiczył, co powie. Teraz mówił głośno i wyraźnie, ale słowa więzły mu w gardle, z którego dobywał się nieskładny bełkot. Przełknął z wysiłkiem i spróbował jeszcze raz.

– Zwę się Jenks Grindelson. Jestem obrońcą Świętego Wezwania i nie wolno ci wejść do tego kościoła. Nie wolno ci zabrać naszego błogosławionego dzwonu. Odejdź natychmiast, a nie stanie ci się żadna krzywda.

Klath-Ulna wpatrywał się w niego nieruchomo przez trzy uderzenia serca, zanim odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Wydawało się, że śmiech ten wstrząsa światem w posadach.

Pot – zimny i tłusty od strachu – wystąpił na czoło Jenksa. Lodowate strużki spływały mu po plecach pod koszulą. Ręce miał tak śliskie, że musiał ciągle poprawiać chwyt. Modlił się, żeby przerażenie, które ściskało mu serce, nie odbiło się na jego twarzy.

– Chłopcze. – Klath-Ulna wskazał tatuaże na swojej szyi. – Czy wiesz, co to jest?

Jenks nie zdobył się na odpowiedź.

– To historie moich poszukiwań kolejnych dzwonów. Każda opowiada o miastach takich jak to. Miastach Zakarum wypełnionych wiernymi. Ludźmi, którzy sądzili, że *wiara* ich zbawi. – Zrobił mały krok do przodu. – Teraz te miasta to tylko zgliszcza. A po wiernych, którzy szukali schronienia przed ciemnością, nie pozostało nic oprócz poczerniałych kości, walających się w ruinach. Światłość nie zdołała ich ochronić.

Jenksowi wydało się, że kamienny stopień zachwiał się pod jego stopami.

– Niektóre z tych miast były pięciokrotnie większe niż Święte Wezwanie. W ich obronie stawało kilkunastu lub więcej wojowników – doświadczonych uczestników wypraw krzyżowych. Pozwoliłem im założyć zbroje i otrzymać błogosławieństwo

od kapłanów. Z poświęconymi włóczniami i mieczami w rękach oraz z modlitwami i błogosławieństwami na ustach stawili mi czoła. I mówię ci, chłopcze, że to nie pomogło, bo jestem Klath-Ulna Złoty. Zabiłem wszystkich, a byli to prawdziwi wojownicy.

Wszedł na pierwszy stopień, aby się zbliżyć.

– A ty kim jesteś? Wyrostkiem w kiepskiej zbroi i z mieczem niezbrukanym krwią. Masz za mało lat, by podcierać własny tyłek, a co dopiero stanąć do walki. – Przybysz pokręcił głową. – Nikt inny w tym mieście nie ma odwagi, by się pokazać, a co dopiero stanąć przeciwko mnie. I powiem ci, chłopcze, że nie masz szans. Przeszedłem przez tysiąc pól bitewnych. Przeszedłem rzeki krwi. Nawet z tymi tatuażami, które mi to przypominają, ledwo mogę zliczyć *miasta*, które zniszczyłem, i ludzi, których zabiłem. A jednak... jednak podziwiam twojego ducha. Naprawdę. Dlatego czynię to, by uhonorować odwagę, która chce się w tobie narodzić, młodzieńcze.

Zamiast wyjaśniać, co ma na myśli, barbarzyńca oparł maczugę o ścianę. Następnie, ze wzrokiem utkwionym w Jenksie, odpiął pasy ciężkiej płyty napierśnika. Zbroja opadła, ale wojownik z jaszczurzą szybkością złapał ją, po czym opuścił powoli na ziemię. Odpiął kolczaste rękawice i nagolenniki. Na koniec ściągnął bawełniany podkoszulek i stanął naprzeciw chłopaka odziany jedynie w skórzane spodnie i buty. Nagi tors barbarzyńcy osłaniały teraz tylko dzikie tatuaże.

– Niechaj walka będzie sprawiedliwa – wyjaśnił Klath-Ulna. – Wyrównane siły, chłopcze Chociaż... Dam ci jeszcze ostatnią szansę. Pozwól mi wziąć po prostu dzwon i żyj. – Podniósł swoją maczugę, która wyglądała jeszcze groźniej, gdy dzierżył ją bez zbroi. – Odsuń się.

– Nie... nie mogę – wykrztusił słabo Jenks. – Dzwon to źródło naszej Światłości. Jego bicie odpędza mrok. Jest sercem tego miasta.

W myślach Jenks widział twarze swoich rodziców, wujków i ciotek, kuzynów – każdego członka rodziny, który wyruszył na wojnę. I było tak, jakby w tej chwili stali przy nim, wyczarowani potrzebą chwili i zagrożeniem ze strony barbarzyńcy. Jenks czuł rękę ojca na ramieniu i pocałunek matki na policzku. A chociaż ta ręka i te usta były zimne, to nie tak zimne jak krew w żyłach Jenksa.

*Dopomóż mi,* błagał w duchu. *Akaracie, prowadź miecz w mojej dłoni. Daj mi szybkość i mądrość.*

A POTEM UNIÓSŁ BUZDYGAN I ZAMACHNĄŁ SIĘ NIM, BY UDERZYĆ JENKSA W GŁOWĘ. BROŃ MUSIAŁA WAŻYĆ Z PIĘĆDZIESIĄT KILOGRAMÓW, ALE KLATH-ULNA WYMACHIWAŁ NIĄ JAK WITKĄ.

Barbarzyńca wypełniał przestrzeń przed chłopcem, równie realny i zabójczy jak cała nienawiść i groza świata.

Jenks pokręcił głową.

– Nie mogę pozwolić, żebyś nam go odebrał. Nie mogę.

– Musisz – powiedział Klath-Ulna ze spokojem. – Nie zdołasz zrobić nic, by mnie powstrzymać. Nie... Pozwól, że ujmę to dosadniej: nie możesz zrobić nic, co będzie miało znaczenie. Nic, co się tu wydarzy, nie zostanie zapamiętane. Nie będzie żadnych ballad, żadnych wierszy. Niczego. Tylko pył rozwiewany przez obojętne wiatry czasu.

Jenksowi chciało się płakać. I krzyczeć. Chciał uciec, ukryć się i nigdy nie oglądać tego przerażającego mężczyzny na stopniach kościoła.

Jednak tylko napiął się z całej siły, ścisnął w dłoni rękojeść miecza, który nigdy wcześniej nie zaznał walki, i uniósł ostrze, które nigdy nie zasmakowało krwi.

– Nie pozwolę ci – oznajmił. – Jeśli spróbujesz zabrać dzwon, ja, Jenks Grindelson ze Świętego Wezwania, powalę cię. Przysięgam ci.

Klath-Ulna westchnął.

Właściwie nie chciał zabijać tego chłopaka. Nie z litości, bo tej miał niewiele, ale dlatego, że wiedział, jak bezsensowna będzie to walka. Ten chłopak był dla niego nikim. Ubicie gołowąsa w mieście pełnym tchórzy nie przyniosłoby żadnej chwały.

Barbarzyńca podniósł swój buzdygan, by Jenks mógł mu się przyjrzeć. Ciężką broń pokrywały runy, z których każdą wykonano ze złota innych dzwonów, zabranych z wież w innych miastach Zakarum.

– Zaoferowałem ci życie, chłopcze – powiedział Klath-Ulna. – Ale skoro pragniesz śmierci, będziesz ją miał.

Ale to Jenks uderzył pierwszy.

Młodzieniec wiedział, że ma tylko jedną szansę, a jest nią zaskoczenie. Zamachnął się mieczem nad głową, a gdy zeskoczył na niższy stopień, spuścił klingę, wykorzystując masę swojego ciała, ciężar miecza i strach, by napędzić uderzenie.

Klath-Ulna zareagował z oszałamiającą szybkością, gdy odchylił się, by uniknąć ostrza tnącego powietrze przed jego nagim torsem. Mimo to czubek miecza Jenksa nakreślił gorącą, czerwoną linię od obojczyka do żeber barbarzyńcy. Trysnęła krew, ciemnoczerwona w cieniu kościoła.

Jenks nie zatrzymał się, żeby popatrzeć, tylko rzucił się w przód, tnąc raz po raz w nadziei na szybkie zakończenie starcia. Wiedział, że nie może ryzykować, by barbarzyńca odzyskał równowagę.

Klath-Ulna uchylił się przed drugim ciosem i użył dolnej części swojej zbitej pięści, by sparować trzecie uderzenie.

– Jesteś szybki, chłopcze. – Roześmiał się, wyraźnie pod wrażeniem. – I masz waleczne serce. Przelałeś moją krew, choć wielu lepszym od ciebie nigdy się to nie udało. Niech ta wiedza osłodzi ci porażkę i śmierć.

A potem uniósł buzdygan i zamachnął się nim, by uderzyć Jenksa w głowę.

Broń musiała ważyć z pięćdziesiąt kilogramów, ale Klath-Ulna wymachiwał nią jak witką. Jenks krzyknął i kucnął, gdy masywny buzdygan rozdarł powietrze o włos od jego czoła. Chybione uderzenie strzaskało frontowe drzwi kościoła. Drzazgi poleciały jak strzały. Jenks poczuł kilkanaście ukłuć, a potem gorącą strużkę krwi.

Klath-Ulna ponownie się zamachnął bronią, tym razem na wysokości pasa. Jenks rozpłaszczył się jak żaba, po czym wyskoczył z wymierzonym mieczem.

Nie dostrzegł ciosu, który trafił go w tors. Wiedział tylko, że leci do tyłu przez uszkodzone drzwi. Uderzył w podłogę i potoczył dalej. Jakimś cudem miecz wciąż pozostał w jego dłoni, ale chłopak ledwie mógł nabrać tchu. Czuł się, jakby barbarzyńca zmiażdżył mu klatkę piersiową. Kaszląc, przetoczył się na ręce i kolana, zdumiony, że wciąż żyje.

Za nim resztki drzwi rozpadły się, gdy buzdygan uderzył po raz kolejny. Klath-

Ulna wkroczył do kościoła i ruszył na Jenksa z uniesioną bronią.

Chłopak wykonał przewrót do przodu, gdy broń barbarzyńcy rozbiła podłogę. Uderzenie cisnęło Jenksa w rząd ławek. Chłopak przewrócił je, jedna po drugiej, jak płytki domina.

– Akaracie, ratuj! – Podniósł się z trudem. W samą porę, by zobaczyć zbliżającego się Klath-Ulnę. Jenks obrócił się i pobiegł.

Drzwi do wieży były solidne, ciężkie, dębowe i okute żelazem. Chłopak zatrzasnął je za sobą i zaryglował. Obok znajdował się regał z hymnami. Jenks zastawił nim wejście.

Potem wbiegł po krętych schodach, zatrzymując się tylko po to, by zepchnąć meble na dół. Po drodze na górę natrafił na pół beczki oleju do lamp, więc wylał wszystko na stopnie, żeby były śliskie.

Drzwi poniżej zadrżały pod wpływem uderzenia. Raz. Drugi. A potem wbiły się do środka. Drewno roztrzaskało się, a żelazne okucia poskręcały. Zerwane nity zabrzęczały, gdy odbijały się od ścian.

Klath-Ulna przestąpił próg i spojrzał w górę. Przez chwilę on i Jenks tylko na siebie patrzyli. Zabójca nadal się uśmiechał, ale ten uśmiech było już inny. Czyżby tak zawzięty opór zrobił na obcym wrażenie? Jenks tak uważał, choć stanowiło to znikomą pociechę przed śmiercią.

Barbarzyńca wspinał się po schodach bez pośpiechu, zrzucone meble nie stanowiły dla niego przeszkody. Jenks, mimo że opadał z sił, uparcie biegł coraz wyżej. Wreszcie jednak się zatrzymał, bo przed sobą ujrzał dzwon. Żelazny. Czysty. Święty.

Jenks położył na nim dłoń, a w duchu zmówił rozpaczliwą modlitwę.

*Niechaj Światłość da mi siłę. Akaracie, bądź ze mną. Potrzebuję cię. Staram się jak mogę, ale nie zdołam zrobić tego sam. Dopomóż mi!*

Nad dzwonnicą rozstąpiły się chmury i promień czystego, jasnego światła wpadł przez okno. Skąpał w złotej poświacie twarz i ciało chłopca, napełnił jego serce nową odwagą. Jenks poprawił chwyt na rękojeści i podniósł miecz tak, by promienie słoneczne – błogosławiona Światłość – dotknęły stali i użyczyły jej swego łaskawego daru. Chłopak wyprostował się i odetchnął.

Spojrzał na dzwon i wydusił przez łzy.

– Przysięgam, że nie pozwolę mu cię zabrać. Na moje życie – przysięgam.

Za plecami usłyszał kroki.

Odwrócił się, gdy Klath-Ulna wszedł na platformę dzwonnicy.

– Czemu chcesz umrzeć w obronie tego dzwonu?

– To nie jest tylko dzwon – zaprotestował Jenks. – To mój kościół, moja wiara. Światłość mi błogosławi.

Klath-Ulna opuścił broń i pokręcił głową.

– Nie masz pojęcia, jak działa świat, prawda, chłopcze? *Myślisz,* że wiesz, ale wiara nie oznacza zrozumienia. I właśnie to jest złe w tym świecie. Niewinni jak ty godzą się na bezsensowną śmierć. Pragną jej. Sądzisz, że skoro stoisz w świetle, jest ono twoją zbroją. Wierzysz, że urodziłeś się tylko po to, by chronić ten dzwon – bo to twoje przeznaczenie. Jesteś ślepy na prawdę, Jenksie ze Świętego Wezwania. Nie widzisz niczego, poza tym, czego cię nauczono, i właśnie to tworzy lukę w twojej zbroi. Wiem to, bo walczyłem z wieloma – naprawdę *wieloma* – którzy wierzyli tak jak ty. Światłość ich nie ocaliła i nie ocali też ciebie.

– Kłamiesz! Znam prawdę. Jesteś wysłannikiem zła, a za mną stoi Akarat. Ten kościół, ten dzwon, jest święty i twoje kłamstwa nie mogą tego zmienić.

– Podoba mi się siła twojego ducha, chłopcze – pochwalił Klath-Ulna. – Zaprawdę. Walczyłem z mistrzami i królami, ale niewielu dorównywało ci sercem. Przypominasz mi kogoś – przyjaciela, brata – z którym po raz pierwszy poszedłem na wojnę. Był taki jak ty – miał odwagę dziesięciu mężczyzn. Niestety... odwaga nie wystarczy. Tak jak nie wystarczy czystość duszy. Nie uratowały mojego przyjaciela. Opłakiwałem go i zabiłem jego oprawcę. I na własnej skórze poznałem okrucieństwo tego świata i jego fałszywą wiarę.

Popatrzył ze smutkiem w twarz Jenksa.

– Nie chcę cię zabijać. *Powinienem,* ale złożę ci tę samą ofertę. Daj mi dzwon, a oszczędzę i ciebie, i to miasto. Twoje *serce* może uratować ci przyjaciół i rodzinę, chłopcze, ale ja muszę mieć dzwon. Zatem... odsuń się.

Jenks zaszlochał, ale nie poczuł wstydu. Podniósł swój miecz jeszcze raz.

– Przysiągłem na swoje życie, że będę chronić Święte Wezwanie. Ten dzwon *jest* miastem. Jeśli go zabierzesz, jakie znaczenie będzie mieć moje życie? Na zawsze pozostanę tym, który zawiódł swój dom i swój kościół. – Powoli, z uporem pokręcił głową. – Będziesz musiał mnie zabić, żeby zabrać dzwon, a ja ci tego nie ułatwię.

Klath-Ulna nadal tylko się w niego wpatrywał.

W KAŻDYM CIENIU WIDZIAŁ OCZY CHŁOPCA, CZUŁ CIĘŻAR JEGO WIARY I CELU.

– Nawet *mówisz* jak mój przyjaciel.

W jego oczach był tak głęboki smutek, że Jenks oczyma wyobraźni niemal ujrzał, jak morderca ugina się, odwraca i odchodzi.

Czuł, że w sercu barbarzyńcy zasiał zwątpienie, które zaczęło zakorzeniać się w mrocznej duszy przeciwnika.

– Nie – powiedział Jenks. – Światłość jest czysta. Prawdziwa.

Światło ogrzało jego policzek. Sprawiło, że wszystko stało się wyraźne. Uniósł miecz nad głowę i wykrzyknął modlitwę.

Nie zjawił się nikt, kto mógłby go uratować.

Z ciężkim westchnieniem Klath-Ulna również podniósł swoją broń.

Klath-Ulna zszedł na ulicę. Po raz pierwszy od wielu lat – więcej niż mógł zliczyć – jego buzdygan mu ciążył. A może to w sercu czuł ciężar wspomnień o utraconym przyjacielu. I brzemię tego, co właśnie uczynił.

Kolce jego broni lśniły gorącym szkarłatem. Dzwonnicę znaczyły rozbryzgi krwi. Chłopak nie dał się łatwo zabić. Walczył do końca, nawet wtedy, gdy już wiedział, że umiera. Ze strzaskaną klatką piersiową i złamaną ręką, ze zgrzytającymi kośćmi policzka, jednym okiem ślepym, a drugim widzącym przez czerwoną zasłonę, Jenks walczył. Z ustami pełnymi połamanych zębów wykrzykiwał modlitwy do Światłości i przekleństwa na Klath-Ulnę. Zmasakrowany, okaleczony i umierający, próbował stanąć między barbarzyńcą a dzwonem.

Zginął, wciąż trzymając swój miecz. Nawet wówczas, gdy upadł, chłopiec próbował jeszcze dźgnąć Klath-Ulnę złamanym ostrzem.

Ostatni paladyn Świętego Wezwania był martwy. Klath-Ulna stanął nad nim i

patrzył, jak zmiażdżona pierś unosi się i opada powoli... aż w końcu nieruchomieje. Jego frustracja z powodu tej bezsensownej walki prawie sprawiła, że wykopał miecz z ręki chłopca.

Prawie.

Zamiast tego barbarzyńca przez chwilę stał nad ciałem w swoistym czuwaniu. Nie uczynił nic podobnego od dnia, gdy jego przyjaciel zginął... Dawno temu. W pośmiertnej masce twarzy Jenksa Grindelsona dostrzegł cień swojego dawnego towarzysza.

– Niech cię szlag, chłopcze – westchnął.

A potem zabrał dzwon i ruszył na schody.

Zanim wyszedł na ulicę, włożył zbroję. Na placu czekało kilkunastu mieszkańców, każdy ściskał jakąś broń. Ujrzeli dzwon, ale nie dostrzegli Jenksa, a Klath-Ulna obserwował, jak ta konstatacja zmieniła wyraz ich twarzy. Najpierw gniew i ból, potem strach i poczucie klęski.

Zszedł do nich. Kiedy tłum zaczął się wokół niego zamykać, Klath-Ulna rzucił tylko: „Nie".

Nic więcej.

Mieszkańcy odwrócili się, płacząc, a on opuścił Święte Wezwanie.

W górach o pół dnia marszu dalej zatrzymał się w miejscu, gdzie uwiązał konia. Zdjął kociołek, który był zawieszony przy siodle, rozpalił ogień, a gdy zapadła noc, za pomocą pilnika wyciął w metalu otwory na oczy i szczelinę na usta. Potem przymierzył. To, co dla mieszkańców miasteczka było dzwonem, na niego pasowało idealnie jako hełm. Tak jak powinno. Stanowiło dopełnienie całej zbroi, którą nosił Klath-Ulna. I dobrze. Barbarzyńca stał długo w świetle księżyca z zamkniętymi oczami, napiętymi szerokimi ramionami i zaciśniętymi pięściami.

Potem zdjął z jucznego konia resztę zbroi i założył. Dopasował hełm i wyprostował się, gotów poczuć ryczącą dumę, która pchała go naprzód od tak dawna. Oto nadszedł ostatni etap podróży, która pochłonęła tyle lat jego życia. Klath-Ulna wreszcie poczuje się cały...

Ale hełm mu ciążył. Jego duma rozpłynęła się w melancholię, gdy pomyślał o chłopcu. O Jenksie.

Chociaż tak bardzo się mylił w kwestii wiary w Światłość, chłopak był czysty. Szczery. Odważny.

Klath-Ulna czuł, że ta czystość pełga na jego skórze jak płomień. W każdym cieniu widział oczy chłopca, czuł ciężar jego wiary i celu.

Odwrócił się do konia, a gdy postąpił kilka kroków, części zbroi zabrzęczały. Jakby każdy fragment z osobna próbował na powrót stać się skradzionym dzwonem, z którego został wykuty przez Klath-Ulmę. Zdawało się, że każdy brzęk niesie się wokół przejmującym echem. Barbarzyńca zamarł, a przez jego ciało przebiegł dreszcz.

Chwycił wodze konia, ale zanim wsiadł, Klath-Ulna obejrzał się w stronę, skąd przybył. Z powrotem na Święte Wezwanie.

W tym mieście byli inni chłopcy. Inni młodzi, rosnący w siłę i czystość swojej wiary. Zastanawiał się, czy echo jego brzęczącej zbroi będzie jak dzwon wzywający ich na wojnę. Czy odebranie dzwonu dało nowe poczucie celu i siły następnemu pokoleniu paladynów? Czy przyjdą szukać Klath-Ulny lub innych takich jak on?

Bez wątpienia.

Zasmuciła go świadomość, że to nie są zwykłe myśli, lecz przepowiednia.

Zamknął oczy i odetchnął, a potem dosiadł konia, zawrócił i odjechał na wschód.

*Nie było mnie tam, ale widziałem te wydarzenia. Ja, Tejal, jestem przeklęta tą wiedzą, tym wejrzeniem.*

*Nie było prawdziwego zwycięzcy tej bitwy. Każdy, kto twierdzi inaczej, nie rozumie, jak rozwija się historia i co rządzi sercami ludzi.*

*Barbarzyńca Klath-Ulna nie wygrał tej walki. Młodzieniec Jenks jej nie przegrał.*

*Chłopak stał się legendą wśród swoich. Dzięki temu, że się sprzeciwił, wielu innych młodych w Świętym Wezwaniu odłożyło karty i kości, i chwyciło za miecze. Jenks nauczył ich, że o wiele rzeczy warto walczyć. A za niektóre nawet umrzeć.*

*Te miecze wznoszą się nawet teraz, odbijają się w nich wojenne ognie. Ramionom dzierżącym ten oręż, nadzieja dodaje sił.*

*Co do Klath-Ulny... jego opowieść wciąż trwa. Czekają na niego rzeki złota i krwi. Nawet po tak długiej wyprawie dla stworzenia zbroi z dzwonów bijących na chwałę*

*wiary, która się od niego odwróciła. Wierzył, że dzięki hełmowi wieńczącemu tę zbroję, znów poczuje się cały. I że odnajdzie, w jakiś sposób, którego nawet on nie potrafił wyartykułować, dom.*

*Ale dla takich jak on nie ma domu. Nigdy nie będzie. Wojna wzywa jego imię. Krew śpiewa w jego duszy. Podbój domaga się jego lojalności. Klath-Ulna przeleje jeszcze wiele krwi, ale ci, którzy go znają, szepczą, że po Świętym Wezwaniu już nigdy nie był taki sam.*

JONATHAN MABERRY jest autorem książek z listy bestsellerów New York Timesa, pięciokrotnym laureatem nagrody Bram Stoker Award, trzykrotnym laureatem nagrody Scribe Award, laureatem nagrody Inkpot, redaktorem antologii, nauczycielem pisarstwa, autorem komiksów oraz redaktorem magazynu Weird Tales. Jego dzieła obejmują dreszczowce z serii Joe Ledger, Rot & Ruin, Kagen the Damned, Ink, X-Files, V-Wars, Glimpse, Black Panther, Captain America, Wolverine, Punisher, Bad Blood, The Wolfman, Mars One i wiele innych. Jest prezesem organizacji International Association of Media Tie-In Writers. Mieszka w San Diego z żoną Sarą i ich niesfornym pieskiem, Rosie.

TEJAL MA WIELE HISTORII DO OPOWIEDZENIA. WIĘCEJ OPOWIEŚCI BĘDZIE JUŻ WKRÓTCE...